

Wojciech Stanisławski: Dzieje rodu Młodziaków

Polskie „rodowody niepokornych” zasługują na wciąż nowe opowiadanie. I gdyby potraktować to zadanie na poważnie, z perspektywy roku 2022 opowiadając o relacjach inteligencji jako warstwy z Kościołem, byłaby to rzecz fascynująca – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Powieść z tezą, *novel of purpose*, rzadko bywa arcydziełem, jest za to świetnym źródłem do historii mentalności, ukazując lęki, obsesje, horyzonty twórców danej epoki. Ma też tę zaletę, że łatwiej niż „Czarodziejską Górę” udaje się ją rozłożyć na czynniki pierwsze, ukazując bohaterów pozytywnych i negatywnych: cztery nogi dobre, dwie nogi złe, a nie jakiś Naphta. Z powieścią tendencyjną jest łatwo, jak nie „Mikołaja Doświadczynskiego przypadku”, to „Pamiętnik Waławy” – a już „Nad Niemnem” łyżkami można jeść. We dworze – *ennui* i sztuczność, w zaścianku – krzepa i pogoda, z całą książką można się uwinąć w kwadrans i to bez protez w rodzaju bryk.pl: po prostu wszystko jasne.

Oczywiście, wzorce różnić się mogą w zależności od epoki i kraju, inni są robotnicy w „Germinalu”, inni, o wiele bardziej świadomi i entuzjastyczni, w „Przy budowie”. Fakt, że Teofil Różyc pokrzepia się czasem morfiną, nie budzi zbytniego entuzjazmu Orzeszkowej, za to pozytywni bohaterowie „Świeckich”, Marianka, Kuba i Tomek chrupią ecstasy niczym tik-taki. To są jednak sprawy drugorzędne.

To, co ważne to fakt, że Wydawnictwo W.A.B. zaczęło na serio rozszerzać swój profil, otwierając się na polską powieść polityczną. Już ubiegłoroczne „Heksy” Agnieszki Szpili, żarliwa, ironiczna i psychodeliczna pochwała siostrzeństwa i matriarchatu, wściekłości, przemocy i wrzasku, były ważnym literackim komentarzem do Strajku Kobiet, malowania piorunków na drzwiach kościołów i całego wzmożenia lat 2020-2021. „Świeccy” Marcela Andino Veleza – przez wiele lat wicedyrektora Muzeum Sztuki Nowoczesnej, autora wprost z purpurowego serca Warszawy – są kolejnym tytułem, któremu warto się przyjrzeć.

Omówienie powieści, która łączy w sobie elementy pamfletu i wartkiej *political fiction*, tysiącletniej niemal kroniki rodu, gejowskiego romansu sentymentalnego („rozkrwanie zrośniętych ciał bolało przez cały dzień”), humoreski, satyry, twardego porno i proroctwa (Kościół w Polsce upaść ma ostatecznie w 50 lat po wyborze Jana Pawła II) będzie musiało poczekać na jakieś inne łamy. Już po pierwszej lekturze chciałbym natomiast przyjrzeć się, jak w tej powieści z tezą konstruowany jest zbiorowy bohater pozytywny (czyli rodzina Świeckich) i jak postrzegają oni przeszłość.

Ród Świeckich, których rodowa siedziba znajduje się w Świeciu, w świeckim powiecie (to naprawdę udany kalambur Veleza, w każdym razie bardziej niż nadawanie nie lubianemu księdzu z Torunia nazwiska Sromotniak, i „niesie” on sporą część książki) jest niezrównany. Pogodny i twórczy, zamożny i sprawczy, choć zdystansowany wobec dóbr tego świata, tolerancyjny i przyjacielski wobec swoich (ale nieprzejednany w pogardzie dla „pisorów” i „ostrej katolickiej okupacji”), jest postępowy w każdym calu, w każdym geście. Świeccy są

niczym Stomil i Eleonora z „Tanga”, jak inżynierowa Młodziakowa wraz z małżonkiem – a najzabawniejsze jest to, że ani przez chwilę nie zdają sobie sprawy (jak to zwykle z bohaterami powieści z tezą bywa) ze swojej papierowości.

Świeccy są niczym Stomil i Eleonora z „Tanga”, jak inżynierowa Młodziakowa wraz z małżonkiem – a najzabawniejsze jest to, że ani przez chwilę nie zdają sobie sprawy ze swojej papierowości

„Mam marzenie – deklaruje Joanna Świecka na dorocznym zjeździe Fundacji Świeckich. – Tak, mam marzenie. Takie, jak wy wszyscy. Że pewnego dnia naród powstanie. Powstanie przeciwko katolickiej

hipokryzji, niszczącej polskie rodziny. Powstanie przeciwko katolickiej hipokryzji, niszczącej relacje międzyludzkie. (...) Że zostaniemy wreszcie sobą!”. A co sala na ten pyszny remake Martina Luthera Kinga? Sala najpierw skanduje „Świeckie państwo!”, a potem owacyjnie bije brawo. Zaś raper Sveze nawołuje słuchaczy, by „przestali wpierdalać katolicką sałatkę jarzynową i wyszli na ulicę”. Katolickość sałatki jarzynowej jest zjawiskiem niespodziewanym i frapującym (można się zastanawiać, czy chodzi o majonez, emulsję oleju, żółtek i soku cytrynowego, który mógłby uchodzić za nowy symbol doskonałego połączenia natur, czy o zieleni groszku konserwowego, tradycyjny kolor jednej z cnót teologicznych?), ale Sveze nie dzieli włosa na czworo, rapuje po prostu „Ode do radości” i ekstaza ogrania zebranych.

Uderza konsekwencja w poczynaniach rodu. Jeden z protoplastów, Józef Kajetan Świecki, w testamencie z 1724 wezwał potomnych, by „nie zdejmowali żałoby po nim tak długo, aż Polska nie stanie się wolna od katolickiego fanatyzmu”. I proszę! Za chwilę będzie 300 lat, jak Świeccy noszą się na czarno (pytanie, co czują na widok duchownego w sutannie). Żadnych różów sześciolatki, żadnej konwersji szesnastolatki, która trafiła do duszpasterstwa – nie, w rodzie Świeckich takie rzeczy się nie zdarzają.

Ale i jak by mogło, skoro przestrzeń, pamięć i aktywność Świeckich skupione są wokół jednej obsesji, jednej traumy? Owszem, stroje noszą czarne, ale czarnych trzeba – *déraciner*, jak w wierszu Wata. Najważniejszym pomnikiem w powieściowym Świeciu jest monument Kazimierza Łyszczyńskiego (świętego, jak wiadomo, za napisanie traktatu *De non existentia Dei*), który co prawda rokrocznie „usiłują niszczyć religijne bojówki”, ale obywatele miasta stawiają im opór.

Co tam zresztą Łyszczyński! Ponad połowę powieści stanowią, przeplecione z rozdziałami fabularnymi, „Gawędy dziadka Henryka”, stanowiące zapis dziejów rodu od czasów Bolesława Śmiałego. Dziadek Henryk deklaruje się jako historyk, i choć wiele jego interpretacji – ot, choćby uznanie kaznodziejstwa ks. Skargi za zjawisko analogicznego do przemówień Donalda Trumpa – skłania do uznania go raczej za mistrza *anachronic standup comedy*, to jego 400-stronicowy wykład zasługuje na rzut oka.

Czegóż tam nie ma! I święty Stanisław („Przeklęte powinno być imię człowieka, który sprowokował katastrofę młodego królestwa. Jednak stało się inaczej. Kościół wykorzystał osłabienie państwa do własnych celów i szybko rozpoczął [! – W. S.] kult Stanisława jako świętego męczennika”). I Jasna Góra widziana jako „Dzieło złego księcia Władysława Opolczyka (...) Zrodzony wtedy kult czarnego obrazu zatruł głowy narodu”. Pochwała husytów i reformacji, i Towarzystwo Jezusowe jako „nowe wcielenie Krzyżaków na polskiej ziemi”, i tumult toruński jako praprzyczyna rozbiorów. Do tego ciemnota barzan, donosy pisane przez prymasa Woronicza, Mościcki jako „zdeprawowana głowa operetkowej dyktatury” i jeden z nestorów rodu, który umiera na zawał na tragiczną wieść o wyborze Wojtyły na papieża.

I tego mi – mówiąc przez chwilę serio – szkoda. Bo polskie „rodowody niepokornych” zasługują na wciąż nowe opowiadanie. I gdyby potraktować to zadanie na poważnie, z perspektywy roku 2022 opowiadając o relacjach inteligencji jako warstwy z Kościołem, byłaby to rzecz fascynująca. Bo przecież wiadomo, że te relacje były niełatwe, a często – na ostrzu noża, że istotna część elit angażowała się w sprawy publiczne w kontrze do politycznej, społecznej i metafizycznej oferty biskupów. Posłanki PPS i ruch świadomego macierzyństwa, traktowane na wpuł poważnie teozofie i loże, „Kuźnica” i Kroński, „Verbum” i TKKŚ, pozytywiści w gumofilcach na posadach powiatowych weterynarzy i libertyni, rządzący światem warszawskich galerii – to wszystko było i stworzyło dzisiejszy świat, do tamtych postaw i urazów trzeba odwoływać się, by pojąć OSK i żrącą pogardę Jacka Dehnela.

Tymczasem „Dzieje inteligencji polskiej”, trylogia, która nie ma sobie równych, kończą się na roku 1918. „Dzienniki” Dąbrowskiej na roku 1965, Woroszylskiego – na 1996 r.. „Wariacje pocztowe”, mistrzowski literacki zapis zmieniających się postaw i światopoglądów inteligenckich – na chwilę przed Grudniem 1970, „Obłąd” – w połowie lat 70., item „Wielki zwrot. Ewolucja lewicy i odrodzenie idei społeczeństwa obywatelskiego 1956-1976” Dariusza Gawina.

*Wczorajsze i dzisiejsze wybory
Zabierskich, Niechciców,
Woroszylskich – także ich
zwątpień, zerwań z Kościołem,
pewnie i apostazji – stanowią
rzeczywistość, która domaga
się opisanania*

Wczorajsze i
dzisiejsze wybory
Zabierskich,
Niechciców,
Woroszylskich –
także ich zwańpień,
zerwań z Kościołem,
pewnie i apostazji –
stanowią
rzeczywistość, która

domaga się opisanania, zarówno na poziomie wielkiej syntezy historycznej, jak literatury. Żeby jednak tego dokonać, trzeba mieć świadomość niemożliwej niemal do ogarnięcia złożoności i zmienności postaw ludzkich: jednostek, a co dopiero dziesiątków pokoleń! Święty Stanisław i prymas Woronicz, ks. Jerzy i proboszczowie w gumofilcach – kto to ogarnie? Warto wreszcie mieć w tyle głowy sentencję pewnego francuskiego autora, który twierdził, że „Przeczyć, wierzyć i całkowicie wątpić jest tym dla człowieka, czym bieg dla konia” (*Mysli*, 260) – co przyszłoby tym łatwiej, że i on nie poważał specjalnie jezuitów, choć może nie miał ich za inkarnację Krzyżaków.

Można tak – albo można pisać powieść z tezą, za której podkład muzyczny mogłoby służyć rzeńskie „Nie papież nam Wybrzeże dał / Nie Śląsk biskupów był, tarara!”. I taka jest też wizja przeszłości dziadka Henryka – i kiedy, załatwiając odmownie Władysława Opolczyka, (rzeczywiście, nieciekawy typ) określa go mianem „antypolskiego warchoła” przychodzi mi do głowy, że tę frazę też już gdzieś czytałem. Tak, w którymś z felietonów Jana Rema.

A może nie aż tam? W każdym razie, patrząc na zamieszczony na ostatniej stronie książki wykaz „Źródeł cytatów i nawiązań” myślę, że brakuje tam kilku co najmniej pozycji. „Roczniki” Długosza – tak, „Autobiografia” Giedroycia też, Surowiecki, Kitowicz, Kertesz – super. Ale, kiedy czytam o jednym z projektów Fundacji Świeckich – „Obszar «Świeckie obywatelstwo», gdzie opracowywano strategię substytucji imaginariów i obrzędowości katolickiej zamiennikami laickimi” – myślę, że zagadnienie to opracował po raz pierwszy niesłusznie dziś zapomniany Ludwik Jagiellak w książce „Socjalistyczne obyczaje i obrzędy w zakładzie pracy” (TKKŚ, Centralny Ośrodek Doskonalenia Kadr Laickich, Warszawa 1975).

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego